Rok XIII. Wrzesień i Pździernika 1889. Nr. 9. i 10.



MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

Administracy i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Feliks Lewandowski.

O TORTURACH ZWIERZĄT.

(Z Przyjaciela Zwierząt.)

Zadaniem naszem jest wykazać, czy t. z. „wiwisekcya“ inaczej torturowanie zwierząt podjęte jakoby w imię nauki, ma bezwzględnie uzasadnioną racyę bytu. Zanim jednak przystąpimy do rozwinięcia na wstępie powolanej tu myśli, nieodzownem jest przytoczyć szereg faktów, od opisania których wzdryga się wprawdzie samo pióro, rzucą one jednakowoż od razu jasne światło na działalność wiwisektorów.

Oto fakta, wiele przemawiające same za siebie:

Znakomity profesor Magendie, w Paryżu, gwoździmi przymocował do stołu za wszystkie 4 łapy i uszy, psa myśliwskiego, nie znieczulając go przy tej operacyi, aby tem namacalniej pokazać uczniom swoim przecinanie nerwów ocznych, piłowanie czaszki, resekcyę mlecza pacierzowego, lub rozcinanie wszelkich systemów nerwowych, poczem słabo jeszcze dające znaki życia zwierzę zachował do doświadczeń mających się odbyć w dniu następnym.

Tam sam Magendie wyrżnął psu żołądek, na miejsce jego wstawiwszy pęcherz i badał następnie ciekawe fizyologiczne procesy konającego zwierzęcia.

Zmarły w Paryżu w r. 1879 profesor Bernard wynalazł dowcipnie urządzony (jak sam się chwalił) piecyk, do palenia żywcem psów i królików w celu badania objawów śmierci powolnie konających ofiar. W jednem z dzieł swoch opisuje drobiazgowo szczegóły smarzenia 17 psów i 22 królików, nie znieczulonych również do tej operacyi.

Dr. Fife z Edynburga, związawszy łapy psu gończemu i przymocowawszy go sznurkiem, przeprowadzonym przez nozdrza, do stołu (uprzednio przedziurawiwszy mu takowe), rozciął biednemu zwierzęciu brzuch i piersi, w celu pokazania uczniom swoim oddzielnych wewnętrznych organów.

Prof. Braché z Paryża powziął myśl określenia granic przywiązania swej suki. Wyłupał więc jej naprzód oczy, zburzył jej następnie organ słuchu, poczem jeszcze w ciągu kilku miesięcy dręczył ofiarę w sposób, jak tylko można sobie wyobrazić, najokrutniejszy — i czegóż się dowiedział! Oto, że biedne psisko po tych wszystkich torturach lizało jeszcze łapy swojemu panu. Tenże mąż sławy, który w podobny sposób zamordował przeszło 200 psów, rozerznął brzuch szczennej suce, aby dowieść uczniom swoim i całemu światu, że konająca matka liże jeszcze przemocą na świat wyprowadzone zwierzęta.

Nie ma się czemu dziwić, że czcigodny profesor opowiadał, jak kolega jego na obiedzie proszonym ufetował gości pieczonemi kotami, nad któremi za ich życia, czynił doświadczenia lekarskie i ażeby tychże gości nie wprowadzić w błąd co do ich uraczenia, przysłał im na drugi dzień skóry zamęczonych kotów.

Prof. Bouillard przedziurawił łeb psu gończemu w dwóch miejscach grubym żelaznym świdrem i wprowadził do jego mózgu, do czerwoności rozpalony klinik żelazny. Zwierzę wyło bezustannie z szałonego bolu w ciągu sześciu dni, poczem szanowny prof. kazał je zabić „przez wzgląd na sąsiadów". Tenże Bouillard rzucił innego psa z prześwidrowanym mózgiem do rzeki, żeby się przekonać, czy też będsie mógł jeszcze torturowany, pływać?

Prof. Magendie, w imię nauki (jak powiada) robił doświadczenia i z ptakami. Z tyłu w głowę wtykał gołębom szpilki, które z powodu tego przez cały miesiąc biegały i latały wstecz.

Nie prawda, co za zajmujące doświadczenia naukowolekarskie?

Inny znowu rycerz w imię nauki, dr. F. Meryng z Berlina, przekonał się, że króliki nie jedząc nic przez pięć dni, po czterech dawkach alkoholu, ginęły; psy zaś: dwa duże rzeźnickie, ginęły z głodu po 18-tu dniach, psy średniej wielkości po 14-tu, duże dogi po 21 dniach.

Prof. Goltz ze Strasburga, 50 psom wyjmował po kawałku mózg z przedziurawionego umyślnie w tym celu w kilku miejscach łba, przyczem badał w przeciągu całych miesięcy stan chorych zwierząt. Operacyę taką powtarzał po kilka razy w różnych odstępach czasu i dowiedział się, że pies, operowany po raz ostatni (czwarty) w dniu 30. maja, od tej pory ślepy, skonał d. 18. listopada. Tenże prof. Goltz powiada z chwalbą: nikt jeszcze nie był w stanie tak długo, jak ja, utrzymywać przy życiu do kilkakrotnych operacyj chore psy, ani też nikomu nie udało się jeszcze obrobić na wszystkie strony mózgu psiego, tak jak mnie.

Niezliczone mnóstwo barbarzyństw, popełnionych przez dr. Goltza przytacza „Archiv für die gesammte Physiologie“, przytaczamy tu niektóre:

Pies ze łbem prześwidrowanym w pięciu miejscach, z wyjętą większą połową mózgu żyje od 14. lutego do 15. marca. Postanowiłem — powiada dalej Goltz — buldogowi, 8. listopada prześwidrować łeb w dwóch miejscach i wyjąć część mózgu. Pies ślepnie na prawe oko. 11. grudnia wyłuszczam buldogowi lewe oko, 10. stycznia wyjmuję znowu część mózgu, 5. lutego jeszcze raz wyjmuję mózg tym razem z prawej strony — pies ginie 15. lutego.

Młodemu psu podwórzowemu 29. listopada wyjęto część lewego dużego mózgu poczem wyłuszczono lewe oko. 22. stycznia nowe wyjęcie mózgu; 29. stycznia trzecie. 31. stycznia skonstatowano zupełną ślepotę operowanego zwierzęcia. 10. lutego operacyą z mózgiem powtórzono po raz 4, wreszcie 4. marca po raz 5. Pies skonał 8. marca.

Silnemu psu, 18. października, przecięto po raz pierwszy mlecz pacierzowy, poczem nad psem czyniono przeróżne doświadczenia lekarskie; 22. kwietnia po raz drugi mlecz pacierzowy. Zwierz kona prawie przez całe pół roku.

Podobnych operacyj jak sam twierdzi, dokonał prof. Goltz, moc niezliczoną.

*

Że uczeni kaci zwierząt, przytępione jeżeli nie zatracone mają wszelkie szlachetniejsze uczucia, zdaje się, że zastanawiać się długo nad tem nie trzeba. Czytelnicy sami dadzą sobie najwierniejszą odpowiedź na to pytanie.

Ale zaprawdę upewnić możemy, że ledwie z nich jeden na tysiąc, obznajomionym być może z okrucieństwami wiwisekcyi dokonywanemi we dnie i w nocy w zagranicznych laboratoryach fizyologicznych — bo że pp profesorowie przy torturach zwierząt, podjętych wrzekomo w celu naukowym, starają się w błąd wprowadzić opinię publiczną, wiemy to od wiwisektorów Clauda i Bernarda, którzy otwarcie przyznają się, że przez wzgląd na „ludzkość“ niszczą pzzed operacyą zwierzętom organ głosu, aby stwierdzić, że zwierzę nic nie czuje mąk, jakim poddane zostało.

Albo owo znieczulenie zwierząt do wiwisekcyi za pomocą śmiertelniej trucizny, jest niczem innem jak tylko obezwładnieniem zwierząt, a nie znieczuleniem ich organu czucia.

Doświadczenia uczniów podjęte również ,,w imię nauki“ nad bezbronnemi zwierzętami, kto wie, czy nie są liczniejszemi jeszcze od doświadczeń nauczycieli, a że są okrutniejszemi daleko, to pewna; pierwsi bowiem nie mają tyle wprawy do wiwisekcyi, co ci ostatni.

Za dowód posłużą następujące cytaty:

Juliusz Szrajber, kandydat medycyny w Królewcu, robił doświadczenia nad 70 królikami, którym przedziurawiwszy głowę, po kawałku wyjmował mózg.

40 tylko królików przeżyło dowiadczenia przez czas pewien. Królik rozciągnięty na desce, głowa przedziurawiona od godz. pół do 6 godz. popołudniu. W takim stanie zwierzę znajduje się całą noc (!!), a zostaje rozwiązanem dopiero nazajutrz o 7 godzinie rano.

Dr. med. Hoggan mówi w jednej z swych broszur: byłem świadkiem wielu bitew, napatrzyłem więc się na mnóstwo okrucieństw, ale przyznaję, że rozpaczliwszego widoku, jaki przedstawiały psy, sprowadzone z laboratoryum fiizjologicznego do sali operacyjnej, trudno sobie przedstawić.

Zwierzęta starały się wzbudzić litość w obecnych przez łaszenie się do nich i błagały o darowanie życia oczami, lub kręceniem ogona, — lecz na próżno.

Gdyby uczucia profesorów nie były stępione i zaprawione na ciągłych krwawych ćwiczeniach, z pewnością nie mogliby długo uprawiać wiwisekcyę...

Jeden ze wstrętniejszych zwyczajów jest ten, że profesorowie po ukończeniu swoich doświadczeń, pozostawiają studentom do śmierci prawie zamęczone zwierzęta, a ci, póki ofiary ich dają jeszcze jakiekolwiek oznaki życia robią dalsze „własne" doświadczenia, nad wynajdywaniem żył, nerwów, i t d.

Że w szkołach weterenaryjnych panuje podobneż okrucieństwo, moglibyśmy przytoczyć niezliczoną moc przykładów*); ograniczymy się wszakże tylko na jednym.

W klinice Alfort (we Francyi) uczniowie drugiego kursu podzieleni zostali na 8 oddziałów, po 8 w każdym i w przeciągu ośmiu godzin (po godzinie oddział) dokonali 64 męczących operacyj przeróżnemi narzędziami (chłodnymi i rozpalonymi do czerwoności nożami, lub piłami) nad biednem koniskiem.

Puszczali mu więc krew, wprowadzali zawłoki, podcinali ogon, podrzynali gardło i krtań, przekłuwali, poczem sznurkiem przewiązywali żyły na karku, piersi i brzuchu (dalej idzie szereg tak wstrętnych operacyj, że wspomnieć o nich nie śmiemy). Przedziurawiali czoło, rogówki każdego oka, przypalali nawet każdą część ciała, nad którą kiedykolwiek zachodziłaby potrzeba przedsiębrania podobnej operacyi. Oddzielali nawet nerwy na każdej nodze, odrywali kopyto przy pomocy kleszczy, odcinali kawałki kopyt, w końcu jeszcze raz przecinali żyły na wszystkich członkach, lub też podnosili na nogi zbroczoną krwią ofiarę, wśród śmiechu oprawców kolegów, żeby pokazać, co człowiek był w stanie uczynić przed wyzionięciem ducha nieszczęśliwego konia.

Podobnych operacyj tysiące dokonywują profesorowie i uczniowie w weterynaryjnych szkołach w Berlinie. Przerąbywanie toporem żywemu koniowi klatki piersiowej, żeby się przekonać o ściąganiu muskułów serca, nie nazywa się tam okrucieństwem.

W ten sposób znęcają się przedewsystkiem w zagranicznych szkołach weterynaryjnych nad starymi schorowanymi końmi.

Przechodzimy teraz do pytania o pożytku wiwisekcyi. Profesorowie jej twierdzą, że tortury zwierząt, podjęte jakoby w imię nauki, przyniosły tak medycynie, jako też leczeniu chorych niepospolite usługi. Inaczej zaś brzmią zdania znawców

---

*) I o naszej moglibyśmy wiele przytoczyć.

a nawet specyalistów, którzy w broszurach swych naukowych nie przeznaczonych dla czytającego ogółu nie mieliby powodu pisać fałszu.

Jeden z nich w swem „badaniu fizyologii zwierząt domowych“ powiada: „20 razy powtórzone to samo doświadczenie daje często 20 różnych rezultatów“, zaś Karol Belle twierdzi: „doświadczenia nad różnemi zwierzętami nie wykazały nic nowego, a raczej pogmatwały jeszcze i pokrzyżowały wiadomości, oparte na anatomii i naukach przyrodniczych“.

Dr. Roché, członek akademii medycznej w Paryżu, odwołując się do szlachetności swoich towarzyszy, pytał: „alboż nie widzimy codziennie, że rezultaty otrzymane z wczorajszej wiwisekcyi, dziś na mocy nowych doświadczeń okazują się nic nie warte?“

Zaiste wiwisekcya sieje tylko niewiarę na polu nauk związanych z medycyną, a sama ze siebie nic trwałego wybudować ani dać nie może.

Na str. 502 w metodzie „Fizyologicznych doświadczeń i wiwisekcyj“ prof. Cionia czytamy: „doświadczenia mają o tyle wagę, o ile tyczą się rodzajów (klass) zwierząt, które podlegały wiwisekcyi“.

To się rozumie, że doświadczenia, których rezultaty mają być stosowane do rodzaju ludzkiego nie powinny być robione nad zwierzętami, ale nad ludźmi.

Czy nie tak?

Przystępujemy obecnie do rozstrzygnięcia ważnego punktu, mianowicie pożytku wiwisekcyi. Protektorowie tej sztuki zapewniają, że tortury zwierząt, podjęte w imię nauki, przyniosły medycynie i leczeniu chorych niespożyte zasługi. Że ich stronnicy i zausznicy są tego samego zdania, chyba dowodów nie trzeba.

Twierdzenia wszakże znawców a nawet specyalistów, jeżeli tylko są szczeremi (a takiemi były bezwątpienia, li tylko w naukowych ich i specyalnych dziełach, nie przeznaczonych dla szerszej publiczności) brzmią wprost przeciwnie.

Colin mówi w badaniach swych nad fizyologią zwierząt domowych: te same, 30 razy powtarzane doświadczenia, bardzo często dają 70 różnych rezultatów, pomimo, że stworzenia, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdowały się w jednakowym stanie znieczulenia.

Karol Belle twierdzi: doświadczenia nigdy nie posłużyły do nowych odkryć naukowych, i zreasumowawszy wszystko to, co za pomocą wiwisekcyi dokonanem było w ciągu kilku lat ostatnich, okazuje się, że wiwisekcya nader często nie była w zgodzie z anatomią ani z historyą naturalną.

Dr. Roché, członek akademii medycznej w Paryżu, odwołując się do szlachetności uczuć swoich kolegów, pytał: czyż nie widzimy, że wnioski otrzymane z wczorajszej operacyi nad żywemi zwierzęty; zastosowane dzisiaj w praktyce, nie wydają najmniejszych pozytywnych rezultatów.

Tak jest, z wyjątkiem niewielu wypadków, doświadczenia, czynione przy pomocy wiwisekcyi, sieją li tylko zwątpienie na polu nauki, burzą, uznane dotychczas za święte, pewniki naukowe, a nie stwarzają nic nowego, ani trwałego, gdyż, jako oparte na gruncie nader śliskim i niepewnym, uczynić tego nie mogą.

Jeden z profesorów w metodyce swej fizyologicznych doświadczeń i wiwisekcyj, powiada: doświadczenia te wtedy tylko mogą mieć znaczenie, jeżeli zastosowane zostaną do rodzaju tych stworzeń które były przedmiotem tortur. (Czyż nie jasny dowód, że doświadczenia, które mają być zastosowane do rodzaju *homo sapiens*, tylko nad ludźmi mają być dokonywanemi?).

Wiwisektor Goltz w Strassburgu przyznaje, iż rzadko się zdarza, aby w sprawie fizyologii mózgu dwaj fizyolodzy byli jednakowego zdania.

Wstrętnemi poprostu i najniepotrzebniejszemi wydadzą nam się tortury zwierząt, jeżeli przytoczymy, że prof. Magendie w Paryżu zamęczył 4000 psów, w celu wykazania prawdziwości swych naukowych w tym względzie dowodzeń i że następnie pod nożem wiwisekcyjnym położył drugie 4000 psów, aby się... usprawiedliwić, że pierwsza 4000 na operacya naprowadziła go na zupełnie mylne rezultaty, i że prof. Schiff z Genewy, który w przeciągu lat 20 własnoręcznie zamordował 14000 psów, przyszedł obecnie do przekonania, że nie ma potrzeby robić doświadczenia nad żywemi stworzeniami, dość jest przeznaczone do operacyi zwierzę zabić uprzednio, potem zaś organy pomieszczone w szklanne naczynia, podbudzać przy pomocy galwanizmu, w ten sposób, że jeszcze jak najdokładniej można na nich obserwować objawy życiowe.

Chcących szerzej obznajmić się z przytoczonemi tu faktami odsyłamy do dzieł: dr. Gützlaffa „Schopenhauer über die Thiere

und den Thierschutz" i dr. med. Gryzanowskiego „Die ansprüche der Physiologen".

Skoro więc tak się pomiędzy sobą różnią zdania wiwisektorów, śmiało przyjść możemy do przekonania, że naukowa korzyść z torturowania zwierząt jest prawie żadna, i że bezwątpienia wierne psy uratowały życie daleko większej ilości ludzi, niż tego dokonali wszyscy profesorowie przez doświadczenia swoje nad żywemi zwierzętami.

Do tego widocznie przekonania przyszedł „słynny" wiwisektor dr. Rejd dopiero na łożu śmierci, gdy cierpiąc straszne męczarnie wskutek choroby raka na języku, przyznał się otaczającym go kolegom, że męki te uważa za karę boską, ponieważ okrutne jego doświadczenia miały na celu badania nerwów języka kilkuset na śmiezć przez niego zamęczonych psów.

O szlachetnych uczuciach dyrektor szkoły Cesarskiej w Alforcie we Francyi, zastonowiwszy się nad długim szeregiem dokonanych przez różnych profesorów wiwisekcyi, zapytał: „ażali z pomiędzy opisanych doświadczeń, znajdzie się jedno, któreby przyniosło ludziom korzyść, mogącą zrównoważyć wyrządzone stworzeniom męki? Bez wahania temu przeczę".

Uczony Cuvier w liście o znaczeniu anatomii porównawczej, wyraził się: natura dała nam możność porównania tego, czego doświadczenia nad żywem ciałem dokonać nigdy nie są wstanie.

Oprócz powikłania widzeń, twierdzeń, a nawet hypotez, żadnych pozytywnych rezultatów dotychczas przez tak liczne torturowanie zwierząt nie otrzymano. Nic więc nie jest wstanie narazić ogół publiczności na wzgardę do nauki, jak dalsze kontynuowanie podobnych doświadczeń, do apoteozy wywyższających okrucieństwo, od którego ze zgrozą odsuwa się każdy, prawdziwie wykształcony człowiek.

Dr. Goggan z Londynu wyszedłszy z kamery operacyjnej, wyraził się: niczem nie mogą być usprawiedliwione okrucieństwa, jakie się dzieją w tych niby przybytkach nauki (mowa tu o salach torturalnych), gdyby nawet przez to i sama nauka ludzkość cała przepaść miały.

A oto zdanie lekarza z Lipska, o którym wyżej była mowa: Jeżeli i nadal (w co bynajmniej nie wierzę), wiwisekcya niezbędną jest dla lekarzy, jako oddająca im wrzekome usługi przy leczeniu ludzi, gotowi jesteśmy zupełnie i ja i większość kolegów moich, zarzucić medycynę, a wierzyć jedynie leczniczej

sile natury, która przecież (niech to będzie między nami) tak często zastępuje nas przy łożu chorego, i którą my, zapewne z wdzięczności za jej tajemnicze usługi, wywyższyliśmy do miana metody, czy nauki, przyczem rzecz naturalna, cała zasługa przyprowadzenia do życia chorego, zostanie po naszej stronie.

Dnie nasze są policzone — mówi Fr. Pover Cobb, — a nie napadając wielce na medycynę, powiedzieć śmiem, że ta wiele uczynić nie jest wstanie, uby je przedłużyć.

Czyż to *niewiele* może zrównać się z mękami tysięcy zwierząt? Któż chciałby za taką cenę okupić ulgę we własnej chorobie?

Ze zdaniem powyższem uczonego lekarza zgadza się i pewien naturalista, który twierdzi publicznie: „jeżeli życie moje w czasie choroby w inny sposób uratowanem byćby nie mogło, jak tylko przez ohydne torturowanie zwierząt, to nie dopuszczę nawet na dziesięć kroków do siebie medycyny ze wszystkiemi jej lekarstwami“.

Mimowoli nasuwa nam się pytanie: czy mogą lekarze, którzy wykształcili się na torturach zwierząt, zachować uczucia miłosierdzia i litości dla bliźnich, czego w prawie jesteśmy od nich żądać, skoro powierzamy im naszych chorych. Brak wszelkich uczuć szlachetnych u młodych studentów medycyny, który przecież wyrabia się u nich przez częste przyglądanie się, lub przyjmowanie udziału w wiwisekcyi, daleko jest niebezpieczniejszym dla ludzkości, niżby się to stać mogło kiedykolwiek przez nieuznanie lub nieprzyjęcie za pewnik naukowy tego lub owego fizyologicznego procesu, czy faktu.

Bo też bezwątpienia tysiąc razy lepiej będzie nietylko dla świata zwierzęcego, ale i dla całej ludzkości, żeby cały szereg faktów fizyologicznych został pokryty tajemnicą, anizeli, żeby rozwiązanie takowych uskutecznionem było z zatratą serca i uczuć u ludzi, którzy jak pierwsze tak drugie posiadać powinni, chcąc pozyskać zaufanie i miłość u chorych.

Jeden z wykształceńszych doktorów w Dreznie upewnia, że w czasle, gdy uczęszczał na kursa w Lipsku, wiwisekcya taki miała urok dla studentów, że z niecierpliwością oczekiwali dnia, w którym odbywać się miały tortury zwierząt.

— Kto myśli — powiada Jatros, lekarz w Lipsku — że można być wiwisektorem a nie mieć przytępionych uczuć i serca, ten nie ma pojęcia o naturze ludzkiej. Niemożebnem jest, aby

człowiek, który w rok pozbawia życia 700 psów przy pomocy najohydniejszych tortur, który całe życie spędza jedynie na ślęczeniu nad drgającemi wnętrznościami skomlących od strasznego bólu stworzeń, nie postradał wszystkich tych przymiotów, przez które jedynie stać się może przyjemnym i pożytecznym dla chorego. Wiwisekcya nie tylko ujmę przynosi fizyologom, ale i poniża samą naukę.

Sprawozdanie cesarsko-królewskiego szpitala w Wiedniu, z r. 1867, opublikowane przez dyrekcyę na zlecenie cesarsko-królewskiego ministeryum spraw wewnętrznych, ujawnia smutny obraz leczenia chorych za pomocą t. zw. „metody naukowej.“

Zapisało się do szpitala 199 chorych na tyfus; z tej liczby zmarło 40. Według jednogłośnego zdania doktorów, którzy leczyli chorych wodą, nawet w czasie najgorszej epidemii (n. p. dr. Brandt w Berlinie) i tych 40 chorych możnaby było wyleczyć wodą. O tem było wiadomo, jednakże nie zastosowano tego, gdyż zaopatrywanie w wodę naszego zakładu (własne słowa sprawozdawców) napotykało przez pewien czas wiele trudności.

Na pociechę wszakże 40 nieboszczyków można powiedzieć, że w następnym roku szpital miał być już zaopatrzony w dostateczną ilość wody.

Za to w roku sprawozdawczym wzbogacono naukę czem innem, a mianowicie najokrutniejszem znęcaniem się nad stworzeniami. Żaden ludożerca nie mógłby z pewnością wymyślać coś straszniejszego. Mianowicie usmarzono żywcem i ugotowano 30 psów. Na str. 172—183 sprawozdania, operacye te opisane są szczegółowo. Psy przeznaczone do usmarzenia żywcem polewano terpentyną poczem zapalano, powtarzając to 5—10 razy, żywcem zaś upieczonych oblewano wrzątkiem 8—10 razy. I cóż takiego przez to zyskała nauka? oto, że psy poginęły w najokropniejszych męczarniach, że skóra pieczona ma inny wygląd od gotowanej i że mięso pod skórą staje się tem gorętsze, im częściej polewa się miejsce gorącą terpentyną.

Mrowie przechodzi po całem ciele, gdy się czyta o podobnych okrucieństwach podjętych wrzekomo w imię nauki.

Mistrzem owych „ciekawych“ badań jest dr. Gustaw Werthejm, cesarsko-królewski lekarz prywatny.

Nie pozostaje tu nam nic, jak tylko powiedzieć: zlituj się Boże, nad nieszczęśliwemi ludźmi i zwierzętami, które dostają się w ręce podobnych lekarzy.

Leży w naturze rzeczy, że przy stole wiwisekcyjnym tępieją wszelkie szlachetniejsze i ludzkie uczucia.

Claude Bernard przyznaje się, że podczas eperacyj nie słyszy jęku ani krzyku torturowanych zwierząt, nie widzi ani krwi ciekącej po jego palcach, nic — oprócz „idei" i upartych organizmów, ukrywających przed nim tajemnicę, którą stara się wyświecić.

Własne słowe dra Gardyi brzmią:

„Nie chce się wierzyć do jakiego stopnia wiwisekcya wpływa ujemnie na całą dzisiejszą praktykę operacyjną w szpitalach; toć istnieje tam zwyczaj poświęcać życie choych ryzykownym operacyom".

„Il Dovere" jedno z najwięcej rozpowszechnionych pism rzymskich przytacza między innemi następujący ustęp z specyalnych czasopism lekarskich: niewtajemniczona w zakulisowe sprawy lekarskie publiczność niema pojęcia jakich doświadczeń dokonywują niektórzy lekarze, przeważnie żaś w szpitalach, nad chorymi. Doświadczenia te jeżeli nie przyprawiają chorego o śmierć, w każdym razie na jego zdrowiu pozostawiają ślady niezatarte.

Oto przykład: niemiecki dr. Klencke wstrzykiwał curare pod skórę 80 chorym i ku nie małemu zdziwieniu przekonywał się, że chorzy od tego nie umierali.

Co za piękne owoce wydaje kształcenie się na wiwisekcyi! Dr. med. G. Fogt na dowód jak wielką jest liczba torturujących zwierzęta niby to w imię nauki, powiada że jedna z więcej nieznanych fabryk instrumentów chirurgicznych w czasie, gdy wiwisekcya stawała się dopiero modną, sprzedawała niezliczone mnóstwo „ławek torturalnych" ze szrubami, gwintami i pasami, służącemi do przytrzymywania ofiar. Dziwi się w dalszym ciągu ten sam lekarz, dlaczego na utrzymanie instytutów wiwisekcyjnych rok rocznie tracą państwa olbrzymie sumy, kiedy możnaby je poświęcić na cele więcej humanitarne i więcej zaszczytu przynoszące ludzkości, niż pastwienie się nad bezbronnemi stworzeniami.

Przytaczamy tu w dalszym ciągu o wiwisekcyi zdanie dre Elliotrona: Nie mogę się powstrzymać od wyjawienia swojego wstrętu do przeróżnych męczarni jakie poniosło 200 przeszło zwierząt z ręki dra Braché. Niechce mi się wierzyć, aby doświadczenia naukowe miały być zdobywane przez utratę

wszelkich naszych szlachetniejszych uczuć, które pono stawiają nas wyżej od zwierząt.

Podobnież o wiwisekcyi wyraził się kardynał Manning arcybiskup Westminsteru w liście do karola Kenta, a nawet Darwin ją potępia.

Dr. v. Gönigsberg powiada: najstraszliwszą, najzaraźliwszą chorobą jest upadek moralności i dlatego to towarzystwa opieki nad zwierzętami winny czuwać, aby człowiek nie upadł niżej od zwierzęcia, zadaniem bowiem takich towarzystw jest przedewszystkiem opieka nad godnością ludzką.

Gdy wiwisektor Herman odgraża się: „za życie psów których nie daliście pod nóż, zapłacicie mi własnem życiem“ uważamy to za czczy frazez, na który odpowiedzi nie ma; gdy wiwisektor Ludwig, w Lipsku oblewa wrzątkiem i męczy do śmierci 70 psów i 140 królików: fakt ten uważamy za niesłychany i wolelibyśmy nie dawać mu wiary; ale gdy nas zapewniają, że prof. Jeger zaprowadza kosztem życia zamęczonych głodem ofiar nowę ideę o znalezieniu duszy“, której sam wprawdzie nie widział, ale ją słyszał przez nos zwierzęcia (?) na skreślenie „mądrości“ tego uczonego odpowiedniego wyrazu na piśmie nie znajdujemy.

Lekarzom, którzy twierdzą, że wiwisekcya niezbędną jest do dalszego rozwoju medycyny, możemy powiedzieć, że większa część lekarzy nietylko w Anglii ale i w Niemczech, stanowczo oświadczyła się przeciwko torturowaniu żywych zwierząt.

Niechajże będzie ogólnie ludzką zasadą: nawet szlachetne cele nie uświęcają nikczemnych środków. *w. gr.*

* * *

Oto przypatrzmy się jeszcze wielkim dla nauki zdobyczom prof. Paschutyna i dra Petermana: Eksperymentowali oni na psach. Jedne z nich oblali lakiem, drugie z nich wtłoczyli w worki gumowe szczelnie u szyi umocowane, i trzymali psy w tym stanie tak długo, aż poginęły. Innym znowu tuzinom psów, pościągali żywcem skóry pozostawiając ją tylko na kończynach, pod brzuchem i na czole. Przytem przechwala się Patermann, że cała operacya przy jego biegłości i wprawie trwała u jednego psa, bez użycia jakichkolwiek środków znieczulenia, zaledwie 15 minut. Obdarte ze skóry psy poobwiązywał watą i szmatami i rozpoczął nad niemi swoje uczone badania. Otóż okazał się

„zadziwiający“ (chyba tylko dla niego) rezultat, że psy mimo waty, szmat i sztucznego ogrzewania, bez skóry żyć nie mogą.

Takich uczonych należy natychmiast zamknąć w domu waryatów lub idjotów! Hycla, za podobne czyny wsadzilibyśmy do kryminału.

Słynny oprawca dr. Munk w Berlinie powyjmował psom koniom, wołom, i małpom mózg, powywiercał dziury w głowie i potem szczycił się doświadczeniem, że psy zwieszały swe głowy i nie mogły chwytać mięsa; małpy straciły sprężystość w nogach, nie skakały i nie bawiły się. Aby jednak przekonać profanów, że te tak maltretowane istoty mają jeszcze czucie bolu, odkrywano ich muszkuły i puszczano na nie prądy elektryczne.

Koniom, psom, kotom, świniom, wołom, owcom poprzecinał nerwy w nogach, aby się przekonać, jak na nie działać będzie „polikarpina“, wypędzająca wiele potu. Doświadczenia te przeniesie potem z koni, wołów, świń na ludzi, i dziwić się znowu będzie, że człowiek tego nie wytrzymał, co wół, koń lub świnia.

W obec takich lichych oprawców podnosimy tu słowa profesora Waldenburga, które tenże według „*Berliner klinische Wochenschrift*“ wypowiedział przy omawianiu nowej farmakopeyi: Jak mało polegać można na eksperymentach, czynionych na zwierzętach! Z iloma to rozmaitemi czynnikami (siłami) mamy w ciele zwierzęcem i ludzkiem do czynienia, z któremi liczyć się musimy!

Myśli Montaigne'a.

Sądzimy, że zrobimy przyjemność czytelnikom, podsuwając ich uwadze najpiękniejsze myśli i maksymy, które zawdzięczamy wielkim geniuszom minionych wieków; będzie to dla nich nietylko rozrywką naukową lecz i pożyteczną wskazówką, ku życzliwości dla zwierząt skłaniającą.

Dziś zapożyczamy od wielkiego moralisty XVI wieku, od Montaigne'a kilka z jego pięknych myśli:

I. Człowiek winien być litościwym dla zwierząt.

Tylko z największym bólem i niezadowoleniem patrzę na ścigających i zabijających zwierzę niewinne, bezbronne i które

żadnej krzywdy nam nie wyrządza; wszak zwykle się zdarza, że jeleń upadając na siłach, nie mając już innego ratunku, cofa się i poddaje ścigającym, dziękując im łzami. Widok to przeszywający serce.

Każde stworzenie, które żywcem schwycę, puszczam na wolność; Pytagoras kupował je od rybaków i ptaszników by to samo robić.

Człowiek względem zwierząt objawia naturalny popęd do okrucieństwa. Gdy się wprawiono w Rzymie do widowisk zabijania zwierząt, przerzucono się następnie do ludzi, do gladyatorów.

Sądzę, że sama natura wszczepiła w człowieka pewne instynkta nieludzkie; mało komu stanowi rozrywkę przypatrywać się igraszkom zwierząt, i obojętnie zachowujemy się wobec zwierząt szarpiących się i kaleczących. Nakoniec teologia nakazuje nam pewne obowiązki względem zwierząt, a biorąc pod uwagę, że jeden wspólny Pan umieścił nas w pałacu świata dla swych usług, i że zarówno się człowiekiem jak zwierzęciem opiekuje, dla tego ostatniego winniśmy odczuwać szacunek pewien i życzliwość.

II. Zwierzęta wyżej stoją od nas pod wielu względami.

Wielokrotnie, oceniając fakty, widzimy, o ile zwierzęta są doskonalsze od nas i jak słabą jest sztuka nasza naśladowania ich. Czy jest gdzie policya zorganizowana z większym porządkiem, rozdzielona na tyle urzędów i tak stale utrzymywana jak u pszczół? Ten rozdział czynności i poleceń tak umiejętnie wydawanych, czy może istnieć bez wrodzonego rozsądku?

Jaskółki, które widzimy po powrocie na wiosnę, przepatrujące wszystkie kąty naszych siedzib, czy szukają bezmyślnie i wybierają na chybił trafił miejsc najwygodniejszych i najodpowiedniejszych dla budowy gniazda? A w artystycznej budowie tych gniazd, czy ptaki posługują się formą kwadratową zamiast okrągłą, kątem rozwartym zamiast prostym, bez zdania sobie sprawy, jakie korzyści przyniesie taka budowa? Biorąc wodę, potem glinę, czy nie zdają sobie sprawy, że twarda ziemia odmięknie, gdy ją się wodą zmoczy. Wyścielając mchem i pierzem gniazda, czy nie wiedzą że małym ich wygodniej będzie? Dla czego pająk zaciąga pajęczynę w jednem miejscu a rozsuwa w innem, czemu raz taki węzeł robi, drugi raz inny? Czy mia-

łoby to miejsce, jeżeliby stworzenie to nie posiadało myśli, zastanowienia i nie wyciągało z nich konkluzyi.

III. O wierności zwierząt.

Co się tyczy wdzięczności zwierząt (bo przymiot ten przyznać im możemy) wystarczy ten jeden przykład podany przez Apionusa, a przez niego osobiście widziany:

Pewnego dnia — mówi on — gdy dawano ludowi rzymskiemu widowisko walki zwierząt dzikich, zwłaszcza olbrzymich lwów, znajdował się pomiędzy niemi jeden, który przez swą rozwścieczoną postawę, przez siłę swych członków i wściekły a potężny ryk zwracał uwagę całego zgromadzenia. Między niewolnikami, którzy w tem igrzysku przeznaczeni byli na pożarcie przez zwierzęta, znajdował się jeden, Androklus z Dacy, należący do pewnego konsula rzymskiego. Lew spostrzegłszy go z daleka, zatrzymał się od razu raptem, jakby czemś zachwycony, następnie zbliżył się powoli, łagodnie i cicho, jakby odurzony spostrzeżeniem niewolnika, poczem zapewniwszy się, że znalazł to co szukał, zaczął kręcić ogonem, na wzór psa przypodchlebiającego się swemu panu, i całować a lizać ręce i twarz biedaka, przerażonego i bez przytomności.

Po chwili Androklus oprzytomniał pod wpływem pieszczot i radości lwa, zdawał sobie coś przypominać; przyjemnie było patrzeć na uściski i objawy przywiązania jakie zamieniali między sobą człowiek i lew. Lud wydawał szalone okrzyki radości, a cezar zawołał przed swą trybunę niewolnika, by się dowiedzieć jaka jest przyczyna takiego pojednania niewolnika z lwem. Androklus opowiedział następujące zdarzenie.

Pan mój, mówił, będąc prokonsulem w Afryce, najstraszniejsze męki mi zadawał, nie pozostawało mi więc nic innego jak uciec, lecz chcąc się dobrze ukryć przed osobistością mającą tak ogromny wpływ w kraju, uznałem za stosowne iść w pustynie, postanowiwszy, w razie gdybym wyżywić się czem nie miał, życie sobie odebrać. Znalazłszy się pod palącem słońcem pustyni, natrafiłem norę podziemną, do której się schroniłem. Wkrótce wszedł do niej lew, z nogą rozkrwawioną i skaleczoną, wydając niesłychane jęki bolu. Przestraszyłem się bardzo; lecz lew zobaczywszy mnie skulonego w kącie jego schroniska, zbliżył się do mnie spokojnie, podał nogę skaleczoną, widocznie prosząc, bym mu ją opatrzył; wyjąłem mu wtedy wielką szczapę

drzewa, wycisnąłem ropę nagromadzoną i jak najstaranniej anęı oczyściłem. Lew doznawszy wielkiej ulgi w cierpieniu, położył się i zasnął, pozostawiwszy swą łapę w mych rękach. Odtąd ja i on żyliśmy trzy lata w tej norze, żywiąc się mięsem; gdyż ze zwierząt, które lew upolował, przynosił mi cząstki najlepsze, które w braku ognia, piekłem na słońcu i żywiłem się niemi. Po pewnym czasie, znudziło mnie to życie dzikie; gdy lew jednego dnia wybiegł na zwykły połów, wyszedłem i trzeciego dnia ujęty zostałem przez żołnierzy, którzy mnie odprowadzili do dawnego pana, a ten skazał mnie na pożarcie dzikim zwierzętom. Otóż o ile widzę, lew ten także wkrótce potem był złapany, i teraz chce mi dać dowód wdzięczności za wyleczenie go.

Wysłuchawszy tego opowiadania, cezar kazał je ogłosić ludowi i na żądanie ogólne uwolnił niewolnika i lwa mu darował. Przez lat potem wiele, Androklus chodził z lwem po ulicach Rzymu, zbierał obfite datki, a lud rzucał kwiaty przed niemi, wołając: Oto lew przyjaciel człowieka, oto człowiek przyjaciel lwa.

O...

Dzień św. Huberta.

Trzeci listopada jest dniem św. Huberta patrona myśliwych. W Austro-Węgrzech, Niemczech, Francyi, Anglii i t. d. w ogóle wszędzie, gdzie wesołe myśliwstwo ma przyjaciół, obchodzą dzień ten uroczyście. Dawne, 1200 lat stare podanie, o polowaniu w dzień Wielkiego piątku, gdzie krzyż święty nagle obronił prześladowane przez myśliwego zwierzę, odnoszą do Huberta, syna Bertranda, księcia Guienne, który na dworze Pipina z Heristal słynął za najdzielniejszego myśliwego. Hubert był człowiekiem pobożnym, a umarł dnia 3 listopada 1727 jako biskup w Lüttich. Ustanowienie orderu Huberta przez Antoniego hr. Sporcka nastąpiło podczas koronacyi cesarza Karola VI. na króla czeskiego. Wraz z cesarzem nosili ten order także August II. krél polski, pruski Fryderyk Wilhelm I. i wielu ze szlachty przy uroczystościach myśliwskich, który to zwyczaj wygasł z początkiem wojny szląskiej. Tymczasem jednym z najstarszych i największych orderów w Bawaryi, jest do dziś order św. Huberta. ustanowiony jeszcze w r. 1444 przez Gerharda V. księcia na Jülichyi i Bergu, a odnowiony w r. 1709 przez Jana Wilhelma elektora z Pfalcyi. Elektorowi „wiernym i przychylnym“

(treu und hold), „dla biednych litościwym i dobroczynnym“, oto są statuty tego orderu, którego insygnje stanowił czworograniasty krzyż z gwiazdą, noszony na piersiach na czerwonej wstążce i miał napis; „*In trau Vass*“ (w wierności silny). W dodatku nosili kawalerowie tego orderu naszyjniki z małych trąbek myśliwskich z wizerunkiem św. Huberta. Bawarski ten order św. Huberta noszą dziś między innymi, także cesarz austryacki i arcyksiążęta Karol Ludwik, Ludwik Wiktor, Albrecht, Józef i Rainer.

Nieco o niedźwiedziach.

Polowania na niedźwiedzie odbywają się obecnie w północnych Węgrzech ciągle i to z nadzwyczaj dobrym skutkiem. W komitacie Gömöre w skutek zimna i braku żywności zeszły niedźwiedzie z gór. W komitacie Bystrzycko-Naszodzkim wydało ostatnie polowanie prawie zdumiewający rezultat; jestto rewir górzysty, bogaty w giemzy niemniej i w niedźwiedzie. W jednej nagonce wyszło ua strzelców naraz 21 niedźwiedzi z których 11 położono.

Że niedźwiedź nie poszanuje brata swego niedźwiedzia, potwierdza świeżym faktem nadleśniczy Geschwind z dziewiczych lasów bośniackich. W okręgu ekspozytury *Dolny-Vakuf*, w powiecie Bugozna złapano silnego niedźwiedzia w nastawione żelaza Łowiec nie miał odwagi przystąpić z siekierą do rozwścieczonego zwierzęcia; powrócił do domu i pożyczył sobie od jednego urzędnika strzelby. Gdy jednak drugiego dnia rano stanął na miejscu, brakło mu już połowy łupu. Ubiegł go bowiem drugi silny niedźwiedź, który znalazłszy swego towarzysza w niewoli, zadusił go i zjadł go do połowy. O podobnych przysługach niedźwiedzich słyszano już dawniej, częściej jednak zdarza się, że złapane niedźwiedzie staczać muszą ciężką walkę z wilkami, którą zwykle przegrywają, a koszta płacą zupełnem swojem zniszczeniem.

„Hekatomba Pasteura“.

Pod powyższym napisem zestawiło angielskie *Stowarzyszeszenie przeciw wiwisekcyi* dokładną listę wszystkich tych ofiar pasteurowskiego „*szczepienia ochronnego*“ przeciw wściekliznie, sięgając po dzień 6. czerwca b. r.

Urzędowy wydział angielskiej Izby wyższej zapytał dra Lauder Bruntona do l. 2057: Czy dostał się do rąk Pana załącznik „*Zoofilisty*“ z 21. lipca 1887, który zawiera szczegóły do listy śmiertelnej Pasteura, gdyś Pan był członkiem wydziału pasteurowskiego? — Odpowiedź: Tak jest, mieliśmy w ręku ten wykaz. — Zapytanie l. 2058: Czy wykaz ten jest dokładny? — Odpowiedź: Tak jest; sądzę, że wykaz ten ułożono z największą troskliwością i skrupulatnością.

Nie ma tedy co do dat żadnej wątpliwości.

Wynik jest następujący: Pasteur przechwala się, że dotychczas poddał szczepieniu 5.500 osób. Znakomita większość tych szczepionych nie uczuła żadnych złych skutków ani od ukąszenia ani z innego powodu. Przeważna ich część nie była w niebezpieczeństwie z achorowania na wściekliznę. Jedyną prawdą jest, na co bezwarunkowo spuścić się można, że 162 osób po zaszczepieniu umarło na wściekliznę.

Według 1-go stopnia było szczepionych i zmarło 41 osób w Paryżu, 25 w Odessie, 7 w różnych miastach Rossyi; według silniejszego stopnia 28, według trzeciego stopnia 61, razem 162*).

Cóż to jednak znaczy. Pijani „*umiejętnością*“ i „*nauką*“ okrążają korybanci swego bożka, gotowi zawsze dostarczyć mu więcej ofiar. *F.*

Czy przesadzamy?

Zwykły zarzut, czyniony przeciwnikom wiwisekcyi przez osoby takie, które nic nie wiedzą i takie, które za wiele o tem wiedzą, jest ten, że sprawiany przez wiwisekcyę ból zwierzętom znacznie przesadzają. Następujący list największego francuskiego wiwisektora dra F. Borela odpowiada na ten zarzut. List ten ogłoszony został w „*Pall Mall Gazette*“ z d. 5 sierpnia 1889:

*) Liczba zmarłych ciągle się zwięk, w sza sierpniu osiągnięto już 176 zmarłych.

Włącznie z zakładem Pasteura w Paryżu istnieje obecnie 20 podobnych zakładów, leczenia ludzi przez psy wściekłe pokąsanych. Rosya posiada ich sześć: w Odessie, Petersburgu, Moskwie, Charkowie, Samarze i Tyflisie; we Włoszech jest pięć: w Neapolu, Medyolanie, Turynie, Palermie, Bolonii; po jednym: w Wiedniu, Konstantynopolu, Bukareszcie, Rio-Janeiro, Buenos-Aires, Habanie, Chicago i Malcie. W Bolonii utworzony będzie wkrótce zakład drugi.

Czy wiwisekcya koniecznie połączona jest z męczarnią?

Do wydawcy *„Pall Mall Gazette"*.

Mój Panie! Pozwól Pan doświadczonemu wiwisektorowi powiedzieć dobrym ludziom, którzy stanowczo wierzą, jakoby zwierzęta, na których Pasteur eksperymentuje, nie cierpiały mąk, — że są w błędzie; moje 15-letnie doświadczenie uprawnia mnie do oświadczenia, że twierdzenie to jest mylnem. Wiwisekcyonowałem ptaki, konie, żaby, króliki, małpy a szczególniej psy i mogę stanowczo twierdzić:

1) Zupełnie niemożliwem jest, użyć środków odurzających w taki sposób, aby zwierzęta znieczulić, czy to używamy do tego eteru, chloroformu, chlorału, opium (morfiny, kodeiny), canabis indica (haszysz) itp.

2) Cierpienia zwierząt po eksperymentach są tak wielkie, że czynią je zupełnie zgnębionemi; najzajadlejsze psy są potem pokorne jak baranki; nie należy jednak ich uspokojenia uważać za ulgę, którą się sprawia człowiekowi po koniecznej chirurgicznej operacyi, gdyż jest to raczej apatya i obojętność męczennika. Eksperymentowałem na psach wściekłych, gdy je po raz drugi na stół operacyjny postawiłem, były łagodne jak króliki. Można prawie stanowczo twierdzić, że wściekłe psy są tak słabe, iż zwykle stają się bardzo łagodnemi.

3) Użycie środka *„curare"* nie osłabia wcale czucia, lecz owszem wzmaga je, co więcej, użycie tego środka wymaga koniecznie poprzedniego przecięcia przewodu oddechowego, aby zwierzęta mogły sztucznie oddechać, gdyż *„curare"* ubezwładnia zupełnie każdy ruch dobrowolny, a zwierzęta bez takiego cięcia zginęłyby na uduszenie.

Kto tylko cokolwiek obeznany jest z eksperymentami fizyologicznemi, ten wie także, że wiwisekcyonowane zwierzęta okrutnie cierpią, nim śmierć z tych mąk ich wybawi. Pasteur musi mieć żywe zwierzęta do swoich badań. List ten nie jest miejscem, aby go zapytać, czy on ma prawo lub nie, ale to twierdzę stanowczo, że on uczciwych ludzi, którzy mu zaufali, oszukał, gdy śmiał twierdzić, że te zwierzęta nie cierpią strasznych mąk. Gdy się go słucha, możnaby uwierzyć, że zwierzęta przychodzą do niego dobrowolnie, i li tylko dla przyjemności poddają się jego eksperymentowaniu.

8 Soho Square 19 lipca 1889. **Dr. F. Borel.**

---

*

Noc na Południu.

Noc na Południu różni się bardzo od nocy w krajach naszych. Ciekawy opis nocy tropikalnej podaje pewien oficer wyprawy niemieckiej Wissmanna do Kongo. U nas — pisze on — z zachodem słońca usypia życie zwierzęce w polu, w lesie i po miastach, głęboki pokój rozpościera swe skrzydła nad całą przyrodą. Jakże odmienną jest noc na Południu. Ptaków śpiewających nie ma tu, a luźne głosy, które usłyszy ucho podróżnika, to tylko krakanie ptaka drapieżnego, gruchanie dzikiego gołębia lub przeraźliwy krzyk goniących i droczących się małp i papug. Lecz gdy ognista kula słoneczna zniknie z widokręgu, powietrze się ochłodzi, cała natura, która dotychczas spoczywała w śmiertelnem otrętwieniu, powstaje do nowego życia, i rozpoczyna się koncert, milionów i znowu milionów małych i większych muzykantów. Chór żab rozpoczyna szaszor najniższym basem, po nich nieprzeliczone armie świerszczów, piewików, skoczków rzną jak na skrzypcach, cymbałach i klarnetach, różne drobne ptactwo nocne gra jak na flecie, a ogromne zwierzęta tygrysy, bawoły i nie rzadko król zwierząt grzmią jak na bębenkach, kotłach i puzanach. I człowiek nie zachowuje się spokojnie. Ze wszystkich stron słychać głuche tony *„ngomy“*, bębna murzyńskiego, według których murzyni przez całą noc tańczą.

Proskrybowany wróbel.

W Północnej Ameryce popadł wróbel w stan wyjątkowy. Akt oskarżenia opracowany jest przez sekcyę ornitologiczną ministerstwa rolnictwa ma 400 stronic i zawiera zeznania przeszło 3.000 świadków. Wszystko zło, co kiedykolwiek kto o wróblu wymyślił, jest tam z urzędu zatwierdzone, a wszystkie jego okropne zbrodnie, nie łagodzi ani jedna cnota. Ci 3000 świadków. do przysięgi gotowych oskarżają go, że on ogromne masy zboża i nasion połyka, jarzyny i owoce pustoszy, niszczy winnice, ogrody i pola. Jest on ciemięzcą wszystkich swojskich ptaków śpiewających i pożytecznych, wypiera ich z ich gniazd. Jego dziki, monotonny, uszy rozdzierający świergot, jego hałaśliwe i kłótliwe zwyczaje i jego nałóg nieczystości, czyni go wszędzie znienawidzonym. Jestto łotr ogólnie szkodliwy. Doradzają, aby wróbla strzelaniem, łapkami, trucizną, burzeniem gniazd jego i wypędzaniem z jego nocnych kryjówek zupełnie

wytępić. Zalecają także aby wróbla tłustego, szczególniej w jesieni uważać za pożądany łup myśliwski, i zjadać go. Wzywają rząd do wydania ustawy ku wytępieniu zarazy wróblej. Gdy go sprowadzono z Europy, radość była wielka i wróbel stał się od razu najpopularniejszym ptakiem kraju. Jednakże poznano się na jego nałogach, a cała miłość ku niemu przemieniła się w ciężką nienawiść.

Biedne wróble! Popadłyście w stan wyjątkowy. Ciało prawodawcze Stanu Nowy-York wydało na was ustawę, według której, kazdy ktoby wam nieco żywności posypał lub schroniska nie odmówił, karany będzie więzieniem lub grzywną. Wesołe proletaryusze ulic nie posiwieją z powodu tego chlebowego ukazu, który jak wiele innych karykatur prawodawstwa amerykańskiego celu swego chybi. Zaczęto prześladowanie od Chińczyków, tych nadzwyczaj pilnych, pracowitych, w wymaganiach skromnych robotników, a teraz znowu zwrócono się przeciw leniwym i żarłocznym wróblom.

Jak myślał świat uczony gdy wystąpiono przeciw torturom?

Porównując średniowieczne torturowania ludzi z nowoczesnemi torturami zwierząt, przychodzimy do następującej prawdy:

Gdy Beccaria, który nie był jurystą, wydał dzieło: *O przestępstwach i karach*, które wywarło wielki wpływ dobroczynny i stało się później bardzo cennem, a w którem wystąpił on przeciw nadużyciom, okrucieństwom dawnych sądów kryminalnych, a w szczególności przeciw torturom i barbarzyńskim karom śmierci,— powstało ogólne poruszenie. Jeden z najznakomitszych jurystów owego czasu Muyart de Vouglans, starał się pokonać Beccaria. Wydał on w r. 1786 pismo pełne jadu, w którem powiedział: „Cóż pomyśleć o człowieku, który śmie twierdzić... że tortury znieść należy... że kary na osoby najwyższych stanów równe być powinny karom na najniższego obywatela... że konfiskata majątku zniesioną być powinna.... i że ze wszystkich środków zapobiegawczych zbrodniom najskuteczniejszem będzie udoskonalenie wychowania!“ Po takim wyskoku oburzenia stara się on udowodnić doskonałość, sprawiedliwość, pożytek i potrzebę tortury i okrutnych kar śmierci. Inny uczony prawa owego czasu, Juisse, wystąpił także przeciw Beccaryi. Nie chce go nawet uznać godnym pisania o prawie karnem, i widzi w dziele

jego same tylko błędy i złośliwe zamachy na uświęcone zasady państwa.

Działo się to przed 100 laty. Dziś nie ma tortur na ludzi, a miejsce ich godnie zajęła wiwisekcya. Nie minie i lat 100, i ona zniknie bez śladu, ta zakała 19 wieku.

Nie podobne do prawdy a jednak prawdziwe.

(Tępienie myszy polnych). Sprawa ta błąka się już od kilku lat w komisyach sejmowych. I tego roku wskutek petycyi Towarzystwa gospodarstwa krajowego zastanawiała się komisya gospodarstwa krajowego nad tą sprawą i zgodziła się w zupełności na zapatrywanie posła Wład. Koziebrodzkiego, domagającego się osobnej ustawy, zmuszającej ludność rolniczą do tępienia myszy polnych. Aby jednak ta ustawa odniosła pożądany skutek i aby obowiązani do wykonywania jej o praktyczności i skuteczności mogli nabrać mocnego przekonania, należy naprzód, — według zdania komisyi, — podnieść nizki poziom oświaty w kraju. Należy zatem walczyć na drodze należytego pouczania i skutecznego przykładu. Przed innymi więc, duchowieństwo musiałoby się podjąć tego zadania w pierwszym rzędzie, po nich obszary dworskie powinny lud przygotować do tej ustawy.

Całą zaś czynność w praktyce składa komisya na barki nauczycieli ludowych, *którzy razem z dziatwą szkolną w wolnych od nauki dniach powinni się zająć tępieniem myszy polnych.* — A więc ten nauczyciel, który ma dbać o umoralnienie dzieci i serca ich uszlachetniać, ma ich z powodu myszy polnych demoralizować i serca ich młode takiemi ryczałtowemi mordami zatwardzać.

We wszystkich krajach cywilizowanych, ludzie walcząc z tą plagą, wynajdują różne sposoby i używają ich mniej więcej z dobrym skutkiem, a nigdy nie używają do tego dzieci szkolnych. W Niemczech, we Francyi, w Szwajcaryi istnieją osobne przepisy, aby dzieci nigdy do podobnych czynności nie używać, jak u. p. do nagonek, do zbierania i tępienia chrząszczów, a w Austryi dawniejsze rozporządzenia wprost zabraniają, aby dzieci nie przypatrywały się nawet zabijaniu zwierząt domowych. Przepisy te wydano po smutnem doświadczeniu ogólnego zdziczenia mas i zdemoralizowania młodzieży. Nigdy

bowiem przedtem nie słyszano, aby dzieci kilkunastoletnie były samobójcami, mordowały się wzajemnie z chęci zysku lub z zemsty, a dziś fakta takie są na porządku dziennym i o takich młodych potworach słyszymy codziennie.

Zresztą wątpimy, czy władze szkolne nie zaprotestowałyby przeciw takim zachciankom.

Najważniejsza zaś, że nauczyciele nie przejmą się tym obowiązkiem, jako zupełnie nieinteresowani. Bo i cóż może mysz szkodzić nauczycielowi; w czem może mu szkodę namacalną wyrządzić? czem się mysz może przy nauczycielu ludowym pożywić?

Dla tego sądzimy, że na ten, według zdania komisyi najważniejszy czynnik w tępieniu myszy wcale liczyć nie można.

Opłata od psów.

Rada m. Lwowa postanowiła uchwałą z 6. b. m. wyjednać zmianę dotychczas obowiązującej ustawy co do opłaty gminnej od psów w obrębie miasta Lwowa, a to następującej treści:

§. 1. Gmina m. Lwowa pobierać będzie pzzez organa swoje rocznie od każdego psa utrzymywanego w obrębie m. Lwowa z przedmieściami, gminną opłatę, bez względu tak od samców, jakoteż samic do pięciu (5) złr. Wysokość opłaty uiścić się mającej uchwala corocznie Rada m. Lwowa i poda do publicznej wiadomości. §. 2. Opłata uiszczać się ma całorocznie z góry w styczniu każdego roku. §. 3. Od psa, który w ciągu roku nad 14 dni we Lwowie pozostaje, uiścić należy opłatę za cały rok. §. 4. Szczenięta ssące nie podlegają opłacie. §. 5. Trzymanie psa nad 14 dni we Lwowie bez zgłoszenia do magistratu i uiszczenia opłaty, podpada grzywnie wysokości dwukrotnej opłaty. §. 6. Psy w obrębie realności ciągle na uwięzi trzymane, czyli tak zwane łańcuchowe, są wolne od gminnej opłaty, muszą być jednak corocznie magistratowi wykazywane. §. 7. Niewykazanie w przeciągu dni 14 magistratowi psa łańcuchowego, podpada grzywnie w §. 5. ustanowionej. §. 8. Ustawa niniejsza wchodzi w życie z d. 1. stycznia po jej ogłoszeniu, a jednocześnie traci moc obowiązującą ustawa z 29. listopada 1877 o poborze opłaty gminnej od psów w obrębie miasta Lwowa.

W myśl §. 98. statutu dla m. Lwowa ogłasza się tę uchwałę z tem, iż względem niej wolno każdemu członkowi gminy wnieść

w ciągu dni 8. swe uwagi, które przy zasięganiu wyższego zatwierdzenia przedłożone będą.

Zmiana ta potrzebuje zatwierdzenia sejmu. Że podniesiona w r. 1878 opłata od psów do 5 zł., a od suk zniżona na 1 zł. okazała się bardzo niepraktyczną, a nawet szkodliwą, tego do wodzić nie potrzebujemy, gdyż magistrat sam przyznaje to opracowaniem powyższej zmiany. Opłacie w wysokości dzisiejszej od psów i uprzywilejowaniu suk, sprzeciwialiśmy się już wówczas stanowczo, lecz wtedy mądrość *„fachowców“* zwyciężyła. Gdy uchwała rady miasta przez sejm zatwierdzoną została, — gdzie także przeciw niej podniosły się bardzo poważne głosy, — petycyonowaliśmy co roku o zwianę tej ustawy, przedstawiając faktami szkodliwość jej *„ad oculos“*, a mianowicie: że uprzywilejowanie suk, przyczyniło się bardzo skutecznie do rozmnożenia się psów, czemu właśnie przeszkodzić chciano; że wysokość opłaty namnożyła bardzo wiele psów „bez pana“, gdyż każdy nie mogąc lub nie chcąc zapłacić tak wysokiego podatku, wyrzucał po prostu psa na ulicę, lub wrzucał do kanałów, do stawów, do studeń publicznych; że rozmnożenie się suk stało się powodem wielu nieporządków ulicznych; że wreszcie wszystko to było przyczyną, iż wścieklizna, urojona czy prawdziwa, nieustępywała odtąd z porządku dziennego, i że co roku mieliśmy do czynienia z kagańcami, linewkami, oprawcami i innemi uciążliwościami. Wreszcie udało się nam w r. 1885 uzyskać niektóre ulgi w uiszczaniu opłaty od psów w drodze administracyjnej, a mianowicie, że magistrat prolongował milcząco termin wpłaty po koniec marca każdego roku, przyczem nadmienił magistrat (pismem z d. 20. grudnia 1885 l. 49.421), że pracuje właśnie nad wnioskiem o zmianę ustawy w tym kierunku, by reprezentacyi miasta służyło prawo ustanawiania z roku na rok opłaty od psów w kwocie od 1 do 5 zł. w miarę zachodzących stosunków, a to bez odnoszenia się do sejmu.

Otóż powyższa zmiana ustawy, jest owocem tej pracy magistratu, którą rada miasta uchwaliła, a sejm zatwierdził.

Przy tej sposobności zwracamy uwagę magistratu, że jeszcze w r. 1882 przy końcu ówczesnej kadencyi rady, uchwaliła taż na wniosek radnego ś. p. Kulczyckiego jednogłośnie, że na przyszłość opłacać się będzie od psów bez różnicy płci po 2 zł. rocznie, co i na dzisiejsze stosunki mieszkańców uważamy za słuszne i sprawiedliwe i do zamierzonego celu wiodące. *F. L.*

Dawne obowiązki lenników.

Pod szczególnemi nieraz warunkami nadawano w dawnych czasach lennictwa, gdyż często bardzo znaczne nawet majętności oddawano prawem lennem za bagatele, jak n. p. za sokoła, miecz, pełne pieprzu rękawiczki i t. p. czem raczej zależność lenników niż powinność jaką oznaczyć chciano I tak posiadacz szlacheckiego majątku w Frankonii musiał co roku w dzień św. Marcina oddać swemu panu lennemu mysikrólika; — inny znowu szlachcic austryacki dwie miary much. Hr. Hohenlohe wypuścił r. 1245 prawem lennem mieszczaninowi swój pałac w Augsburgu pod warunkiem, aby zawsze przyjął jego rodzinę, gdy do tego miasta przyjedzie w gościnę a nadto co roku dawał parę butów kurdybanowych W Bretanii musieli lennicy w czasie słabości pani lennej uśmierzać skrzeczenie żab, bijąc kijami w kałuże i sadzawki, aby skrzek żab nie był jej dokuczliwym. Niektórzy lennicy domu d'Argenton byli obowiązani przywieść pani lennej pewnego dnia co roku skowronka na wozie zaprzężonym dwoma wołami, Klasztor panieński w Remiremont musiał za wieś lenną St. Maurice przywieść w dniu Zielonych Świątek dwa półmiski śniegu, a gdy nie mógł dać śniegu, musiał dać wóz zaprzężony dwoma białemi wołami.

Obrazki Wereszczaginowskie.

Do „Kurjera lwowskiego" piszą:

„Pierwsze salwy już padły. Dym się rozwiał na chwilę. Możemy oglądać skutki ciosów — i okropny widok przedstawia się naszym oczom Trupy, krew, chmury żarłocznego ptactwa w powietrzu, stada psów i wilków, szarpiące ciała jeszcze niedawno żywe... Co to jest? — pyta czytelnik. Gdzie się to dzieje? U nas, łaskawy czytelniku, w błogosławionej Galicyi, w listopadzie 1889 r. Czyż zapomniałeś, że znajdujemy się śród bitwy, śród krwawej wojny z okropnym, potężnym nieprzyjacielem, który, jak ongi Batuchan, grozi pokryć cały nasz kraj kośćmi, trupami i niedobitkami podobnymi do trupów? Nieprzyjacielem tym jest głód, brak chleba i paszy, klęska, której rozmiarów i skutków dziś jeszcze przewidzieć niepodobna, ale która na wszelki sposób stać się może dla całego kraju fatalną. Dziś dopiero początek listopada, a prosimy zobaczyć, jakież już skutki wywarł pierwszy atak strasznego wroga! A cóż będzie dalej, w zimie i na wiosnę? Boimy się pomyśleć! A tymczasem prosimy odczytać i o d c z u ć w całej rozciągłości i we wszystkich ekonomicznych konsekwencyach następujące dwa obrazki, nadesłane nam w korespondencyach ze wschodniej, n a j b o g a t szej części naszego kraju.

„I. Oto co pisze nam korespondent od Czortkowa:

„Jadąc gościńcem krajowym do Budzanowa, ujrzałem na rozległych polach, mniej więcej w środkowym punkcie pomiędzy Zwiniaczem, Kosowem, Wierzbowcem, a Laskowcami, widowisko, godne pendzla wielkiego mistrza...

„Przy krwawym blasku zachodzącego słońca przedstawiła mi się scena, podobna do świeżo opuszczonego pobojowiska, zasłanego licznymi trupami, a wśrod nich snuło się kilka tajemniczych postaci, przed którymi co chwiła zrywały się czarne stada wron i kruków, napełniając powietrze przeraźliwą wrzawą.

„Na pobojowisku rozróżniłem grup kilka. W jednem miejscu dwie postacie ciągle ku ziemi pochylone, opatrywały widocznie jakiegoś rannego bohatera; tam znowu rycerz oparty na szyi szlachetnego wojennych przygód towarzysza, ściska go i żegna, gdyż jeden z nich prawdopodobnie na pobojowisku wkrótce spocząć musi. Z przeciwnej zaś strony zbliżał się ku nim czarny jeździec na koniu, na którym już wiele krajów musiał objechać, bo biedne zwierzę resztek sił dobywało, by stanąć na miejscu przeznaczenia. Płaszcz jeźdźca długi, silnym unoszony wiatrem, tajemniczo za nim powiewał. W ręku przybysza widziałem wyraźnie dużą pochodnię, a przy czerwonem świetle słońca zdawało mi się, że się takowe złowrogiem pali płomieniem... To żywe wcielenie „Wojny“ nieśmiertelnego Grottgera — pomyślałem sobie.

„Zaciekawiony do najwyższego stopnia, zlazłem z wózka, aby się tym widmom przypatrzyć. W tej chwili wiatr zmienił swój kierunek, skutkiem czego znalazłem się w atmosferze zgniłej i odurzającej do tego stopnia, że uczułem silny zawrót głowy. Postępowałem jednak śmiało naprzód. Lecz któż opisze moje rozczarowanie i zdziwienie, gdy zamiast trupów walecznych żołnierzy, ujrzałem s e t k i c i e l s k k o ń s k i c h o d a r t y c h z e s k ó r y i nawpół przegniłych... Te dwie postacie, rannemu bohaterowi pomocy udzielające, to dwaj oprawcy, zdejmujący skórę ze świeżo zabitego konia; ów rycerz ściskający szlachetnego wierzchowca, to hycel duszący wychudłą szkapę; a tajemnicze widmo wojny, to żyd wiodący świeżego delikwenta na miejsce stracenia... pochodnia w ręku jego — to olbrzymia maczuga!!!...

„Wkrótce też w miejsce zdziwienia opanowało mię oburzenie na takie lekceważenie wszelkich praw sanitarnych i desinfekcyjnych. Do klęsk głodu, ognia i powodzi czyż trzeba jeszcze i morową zarazę rozmyślnie sprowadzać? Czyż każda z gmin

okolicznych nie posiada osobnych miejsc przeznaczonych na grzebowiska dla koni i bydła, że tutaj, w otwartem polu, w pobliżu gościńca krajowego obrały sobie miejsce na składanie ścierwa, które pozostawione bez żadnych środków desinfekcyjnych — zakaża powietrze na parę mil wokoło?

„Pod wpływem odniesionych wrażeń piszę list niniejszy w tej nadziei, że może za pośrednictwem waszego cennego pisma dowie się o tem odnośna władza i wyszle na to fatalne miejsce natychmiast komisyę sanitarną, którąby zarządziła bezzwłocznie usunięcie i zakopanie tego ścierwiska, a to celem uniknięcia najfatalniejszych następstw.

„II. Na dzień przed obecnym listem otrzymaliśmy od innego korespondenta następujący list z Grzymałowa:

„W nr. 304 „Kur. lwow.“ pomieściła szan. redakcya wiadomość o walce charta z wilkiem. Rzecz ta, wszystkim w okolicy wiadoma, jest ciągle jeszcze przedmiotem rozmowy szczególnie w kółkach myśliwskich, w których zdania są podzielone, co więcej podziwiać należy, czy dzielność charta, czy potulność wilka?

„Bądź co bądź faktem jest, że wilk był i że został zabity; faktem jest także, że w kilka dni później widziano w oddaleniu około 4 kilometrów od Grzymałowa drugiego wilka i o tem jednemu z tutejszych myśliwych doniesiono. Zdziwi się zapewne każdy, jak się to dzieje, że wśród białego dnia, w czystem polu niedającem żadnego schroniska ani ukrycia, tak blisko miejsc zamieszkałych, pojawiają się wilki, u nas dość rzadko w lasach spotykane. Rozwiązanie zagadki nie jest trudne: Oto handlarze grzymałowscy kupują wielką ilość koni, których biedny włościanin dla braku paszy pod zimę pozbywać się musi, wyprowadzają takowe w pole tuż pod miastem, zabijają i zabrawszy skórę, posostawiają ścierwo niezakopane. Takich kościotrupów widzieć można kilkadziesiąt tuż za miastem na polu, a jeden leży nawet przy samej drodze krajowej. Ścierwo to stanowi przynętę dla psów z całej okolicy, a, jak się pokazuje, i wilki także z lasów ściągać się do niego zaczynają. Rzecz naturalna, że gdy ścierwa zabraknie, zgłodniałe wilki dusić będą ostatki inwentarza chłopskiego, a nawet dla ludzi stać się mogą niebezpiecznymi. A roje psów ze wszystkich wsi okolicznych? — Na wiosnę mieliśmy tu ze wścieklizną do czynienia, więc możemy spodziewać się, że się znowu wkrótce pojawi; chyba, że ścierwa

nie zabraknie i zdaje się, że tak będzie, bo właśnie dowiaduję się ze strony pewnej, że wczoraj przypędzono znowu 60 koni do zabicia, które legną na polu starozakonnego obywatela tutejszego p. N., albowiem prosił on o to handlarzy, twierdząc, że w ten sposób pole doskonale się nawozi. — A względy sanitarne? A przepisy, może kto zapyta?

Przepisy? zapytujecie. A któż je przestrzegać, któż je wykonywać powinien? Oto popatrzcie, jak pod okiem Zwierzchności gminnych, powołanych w pierwszym rzędzie do ich przestrzegania, odbywa się pastwienie nad psami przez hyclów publicznie po ulicach naszych miast i miasteczek, przy gościńcach publicznych, jak n. p. w Rohatynie, Trembowli, Haliczu i t. d.; lub w Brzuchowicach pod Lwowem, gdzie z polecenia władzy psy powrzucane do głębokiej jamy żywcem grzebano. Jak odbywa się zabijanie koni n. p. w Świlczy pod Rzeszowem, w Nawaryi pod Lwowem, a nawet i w samym Lwowie, skąd otrzymaliśmy doniesienia, że z koni żywcem skórę ściągano. Jak nie mają dusić konie stryczkiem po wsiach, gdyśmy tosamo widzieli we Lwowie na placu publicznym; lub w Nawaryi, gdzie konie spędzone, a niezabite przed szabasem, pozostawione w polu przez noc pozamarzały. A cóż na to panowie weterynarze powiatowi? Czemuż nie pouczą tych ludzi, jak bez dręczeń konie zabijać? — Rzeczywiście, gdy to wszystko zważymy, przekonujemy się, że wszystkie usiłowania nasze, wobec tego co się dzieje, pozostaną jeszcze długo mrzonkami [1]).

* *
*

Z Budzanowa na Podolu donoszą nam w dalszym ciągu obrazów wereszczaginowskich: Pobojowisko między Zwiniaczem a Wierzbowcem schowało się pod ziemię, jak straszliwa mara. Natomiast na polach budzanowskich, własności hr. Baworowskiego, zabito tymi dniami p a r ę s e t koni, a ścierwo z nich leży niezagrzebane. Przy ścierwie tem widziałem nietylko stada ptactwa i psów, ale co gorsza k i l k a n a ś c i e sztuk nierogacizny. Nie jestem w tym względzie fachowym, nie mogę więc orzec, czy mięso z tych świń zdrowiu nie będzie szkodliwem. Wcale jednak nie chciałbym jeść mięsa z wieprza, karmionego padliną. Do

---

[1]) Upraszamy Szanownych członków o spieszne doniesienia o podobnych faktach, abyśmy mogli poprzeć niemi petycyą wniesioną już do c. k. Namiestnictwa o zapobieżenie tym nadużyciom.

niedawna był wywóz świń galicyjskich zakazany z powodu zarazy, teraz znowu stracą popyt z powodu oryginalnego ich hodowania Takieto u nas teraz porządki. A co będzie na wiosnę z obróbką roli, gdy konie masami wyginą, o tem nikt nie zdaje sobie sprawy.

* *
*

Z Buska piszą do *Diła*: W naszej okolicy biedni ludzie, nie mając co lepszego robić, włóczą się z bydłem i „habetami“ z jednego jarmarku na drugi (a jest ich w okolicy aż pięć) po niesłychanych błotach. A jaki ztąd zysk? Oto za „transport“ (paszport) trzeba zapłacić 6 „dudków“, „mostowego“ (za rogatkę) 4 dudki, placowego kilka centów, na wikt trzeba przynajmniej 10 dudków, a za chabetę dają żydzi (bo nikt inny nie kupuje) 50 ct. na kości. Setki takich koni napotkasz pod samem miastem w Białym Kamieniu. Z jednych sterczą już kości, inne są jeszcze żywe; obgryzają korę z drzewa, koło innych zachodzą się oprawcy. Oprawcy ci umyślnie nie zabijają konia od razu, a tylko wpychają mu nóż w piersi, tak ażeby krew zwolna spływała i aby koń walcząc ze śmiercią rzucał się jeszcze na wszystkie strony i krwią swoją użyźniał pole. Ścierwo z tych setek koni pod samem miastem gnije i zanieczyszcza powietrze, a c. k. Żandarmerya, która innego rodzaju rzeczy wyszukuje nawet tam, gdzie ich nie ma, tego zabijającego odoru jakoś nie może zawąchać, ani też nie widzi barbarzyńskiego znęcania się nad zwierzętami. Bieda koło nas! Zanim przyjdzie ta zapomoga, to snać ani ogona nie stanie.

Rozmaitości.

Hygiena w szkołach. W sprawie ustanowienia służby lekarskiej w gminach wniósł referent sejmowej komisyi sanitarnej między innemi także rezolucye do rządu, ażeby ustanowił w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie zakład hygieniczny wraz z katedrą hygieny i ażeby zaprowadził w Galicyi obowiązkowo wykłady hygieny we wszystkich seminarjach nauczycielskich męskich i żeńskich.

Jak te wykłady hygieny w szkołach wyglądać będą, możemy już dziś mieć przedsmak z tego, że dla szkoły wydziałowej żeńskiej we Lwowie mianowano nauczycielem hygieny weterynarza, który dotychczas zajmował się tylko zaszczepianiem wścieklizny psom, królikom i morskim świnkom i hodował rozmaite bakcyle. Żeby takie prace zawodowe kwalifikowały kogoś na nauczyciela hygieny w szkołach żeńskich, o tem ze zdziwieniem się dowiadujemy.

Zmyślni Prusacy. Przemyślni chłopi z okolic Spreewaldu, którym niskie procenta się nie podobały, wpadli na dobrą myśl, jakby najkorzystniej pieniądze swoje ulokować. Oto zakupują w okolicach ubogich w paszę bydło i oddają takowe ubogim mieszkańcom Spreewaldu na „pensyą“. Ci wypasają bydło do pewnego stopnia, poczem zawiadamiają właścicieli. Obydwaj razem prowadzą wypasione bydło na targ. Właściciel otrzymuje swoje pieniądze i około 20 procentu zysku; reszta czystego zysku przypada hodowcy.

Koty kościelne. W kościołach rzymskich a prawie w każdym kościele w Neapolu utrzymywane są wielkie, piękne egzemplarze kotów. *Gatti della Chięsa,* — gdyż należy do kościoła, — łapią tam myszy i nawet podczas nabożeństwa przechadzają się swobodnie między publicznością. Nikt się tem nie gorszy, gdy podczas mszy, kot blisko ołtarza się przechadza lub na samych stopniach usiędzie.

Prof. dr. Billroth zamieścił w dziennikach rosyjskich list ostrzegający publiczność, ażeby bez nadzoru lekarza nie używała kwasu karbolowego. W ostatnich czasach widział on cztery wypadki, w których palce dzieci uległy gangrenie skutkiem nadużywania tego kwasu przy opatrywaniu skaleczeń. Obecnie w chirurgii kwas karbolowy coraz mniej się używa, gdyż coraz więcej przekonywują się lekarze o jego szkodliwości.

Okropny wypadek zdarzył się w Poznańskiem. Borowy K., 70 letni starzec poszedł z dwiema kobietami przewracać siano do zwierzyńca, należącego do dóbr jarocińskich w Księstwie. W czasie tej pracy napadł na nich znajdujący się w zwierzyńcu jeleń. Kobiety uciekły. ale stary borowy ujść nie zdołał a jeleń uderzył go rogami i powalił na ziemię. Wielu ludzi patrzało na to a nikt się nie odważył przyjść w pomoc nieszczęśliwemu, który pod rogami i kopytami rozszalałego jelenia zakończył życie. Ciało jego było literalnie porozrywane, wnętrzności wyciągnięte i porozrzucane. W czasie tej walki dostał się K. do małego rowu, w którego bagniste błoto jeleń wcisnął go w końcu zupełnie, tak iż prawa ręka tylko trochę wyglądała. Dnia następnego zabito jelenia, który dopiero padł za siódmą kulą.

Wilki porwały dziecko. Czytamy w czerniowieckiej *Gaz. Polsk.* Bieżąca jesień obfituje w wilki, które już teraz włóczą się gromadnie po polach i podchodzą nawet we dnie pod ludzkie mieszkania. Przewczoraj kilku tych drapieżców pojawiło się pod miasteczkiem Gurahumora i porwały igrające na gościńcu półtora roczne dziecię włościanina Jana Makowejczuka. Kilku włościan, spostrzegłszy ten napad, puściło się za wilkami w pogoń. Postarano się nawet o parę strzelb i dawano nieustannie ognia, jednak niecelnie z powodu zapadłego zmroku. Wilki cofały się, jak dobrze wyćwiczony w strategji oddział wojskowy i pod kanonadą strzałów rozszarpały na drobne cząstki ciało porwanego dziecięcia!

Walka charta z wilkiem. (*Kurj. Lw.*) O ciekawym i zajmującym nawet dla niemyśliwych fakcie, jak chart pojedynczo zwyciężył dużego wilka donosi nam jeden z przyjaciół naszego pisma D. 30. października

między 7—8 godziną rano, dano znać p. Władysławowi Fedorowiczowi w Oknie, że o jakie 2 kilometry w polu ujrzano wilka. W jednej chwili dosiadł on konia, biorąc z sobą kawalerski karabinek Werndla, jednego charta, trzy charcice i dwa silne psy domowe. Jako doświadczony myśliwy, nie jechał tam gdzie wilk miał się znajdować, lecz pędząc cwałem, starał się stanąć pomiędzy nim a najbliższym w okolicy lasem. Na kilometr odległości ujrzał wilka na horyzoncie bliżej już lasu, niż miejsca gdzie go spostrzeżono. Wilk zaraz go zoczył i zaczął przyspieszać kroku. P. Fedorowicz puścił się wprost na niego, ufając w większą chyżość chartów i licząc, że gdy go charty będą zatrudniały, potrafi się zbliżyć i z konia go ubić. Przeszkoda, którą musiał objeżdżać, wstrzymała go; gdy dojechał wilka, zastał, jak 3 charcice i 2 psy domowe stały strwożone o jakie 30 kroków z wciągniętemi pod siebie ogonami, chart zaś chwyciwszy wilka za kark, rzucał nim o ziemię. Kilka razy wilk się wyrywał i odgryzając się chciał uciec; 5 -6 razy chart chwytając wilka za kark, rzucał nim o ziemię i dusił go.

Długo nie mógł p. F. strzelić, bojąc się, by nie zabił charta, z drugiej strony zaś był w ciągłej obawie, by wilk nie rozszarpał dzielnego „Polota“, któremu tamte psy w pomoc nie szły. W końcu chart wilka tak silnie przytrzymał, że myśliwy miał czas skoczyć z konia i przyłożywszy mu lufę do głowy, strzelić. Ciekawem jest, że koń nie okazywał najmniejszej bojaźni, a reszta 5 psów ani podczas walki, ani później gdy wilk leżał nieżywy, w żaden sposób do niego zbliżyć się nie chciała.

Chart „Polot“ 4-letni, czarny, czerwono podpalony, waży 35 kilo, wysoki 0·67 m., długi 1·12 m., objętość klatki piersiowej 0·82 m. Trudno przypuścić, by chart mógł być silniejszym od wilka, i tylko w ten sposób można sobie to tłumaczyć, że obecność większej liczby psów wilka zbyt zastraszyła.

Przestraszone niedźwiedzie. Kanton berneński i Bern, jego stolica, mają w herbie niedźwiedzia. Stąd, w tamtejszym ogrodzie publicznym, w dole umyślnie urządzonym na klatkę, jest zawsze trzymana para niedźwiedzi. Są one ulubieńcami publiczności i dostają mnóstwo łakoci, dla tego też odznaczają się pewną łagodnością. Niedawno temu między publicznością, przypatrującą się niedźwiedziom, kręcił się pies, spory dog... Widocznie zapragnął obejrzeć ich bliżej, gdyż skoczył do dołu. Wszyscy myśleli, że zginie on za chwilę pod pazurami niedźwiedzi. Te jednak, zdziwione widocznie niespodziewanym gościem, usunęły się na bok. Pies skakał koło nich, targał za kudły; niedźwiedzie zachowywały się spokojnie. Wreszcie dozorca uchyliwszy kratę, wywabił psa z klatki i zwrócił właścicielowi.

Walka z wilkiem. W *Sylwanie* czytamy: We wsi Górne Stanowce wieśniaczka tamtejsza 60-letnia Amalja Grenwisch zabiła prosię i ułożyła je przed progiem chaty, aby rozebrać mięso. Gdy gospodyni weszła na chwilę do izby, zjawił się na podwórzu wilk, który widocznie, zwabiony kwikiem zabijanego prosiaka, czatował poza pło-

tem. Żarłocznik jednym skokiem znalazł się przy zabitem prosięciu, w minucie rozdarł je na kawały i większą część chwyciwszy, począł z nią umykać. Tymczasem wybiegła zrozpaczona gospodyni i puściła się w pogoń za rabusiem. Wilkowi było niewygodnie umykać, gdyż mięso ciężyło w paszczy. To też kobieta dopędziła go, a nie mając innej broni, uderzyła go nożem. Wilk puścił zdobycz odwinął się i chwycił Grenwischowę za rękę, z której odkąsił dwa palce. Staruszka ze strachu i bolu upadła na ziemię, wilk zaś, podniosłszy napowrót prosiaka, popędził w pole. Grenwischowa leży chora niebezpiecznie.

Pies zagrabiony. U niejakiego Józefa Fedingera we Wiedniu zagrabiono między innemi rzeczami i psa jego. Ponieważ komisya fantująca pozostawiła psa u właściciela, Fedinger po kilku dniach sprzedał go. Pociągnięty za to do odpowiedzialności sądowej, przyznał się, że po czterech dniach czekania nim władza psa zabierze, sprzedał go. Sędzia zapytał, coby była władza z psem zagrabionym uczyniła, a funkcyonaryusz prokuratoryi odpowiedział, że psa oddanoby oprawcy do zniszczenia. Wówczas — rzekł sędzia — była grabież iluzoryczną; w jaki bowiem sposób uzyskałby wierzyciel swoją pretensyę, gdy przedmiot grabieży zostanie zniszczonym, i uwolnił oskarzonego od winy.

Jakimże tedy tytułem rości sobie Magistrat prawo do zagrabienia psa i oddania go oprawcy do zniszczenia z powodu nieuiszczonej od niego opłaty? Pretensyi swej nie odbierze, a przedmiot opłaty, którego wartość przenosić może wielokrotnie należytość gminy, zniszczy.

W podobnych wypadkach powinni zawsze pokrzywdzeni zwracać się do sądu, każda grabież bowiem ma tylko cel prawny, zaspokojenia pretensyi a nie uiszczenia przedmiotu zagrabionego.

Od Administracyi.

Szanownych Członków zalegających jeszcze z wkładkami upraszamy najusilniej o wyrównanie należytości po koniec r. bieżącego. Opieszałość ta przeprawia nas o straty, które tego roku doszły już do tego stopnia, że spowodowały zwłokę w wydawnictwie *Miesięcznika*. My swoich obowiązków, chociaż spełniamy je honorowo, dotrzymamy w każdym razie, niechajże tedy Członkowie, którzy deklarowali się nas popierać nie stawają nam na przeszkodzie i dążnościom naszym nie czynią krzywdy i zawodu

Do wielu Członków!

Wydawca gazety *Schützen-Zeitung für Tirol* umieścił na czele Nr. 42 następujące przypomnienie „Do wielu pp. prenumeratorów, którzy z zapłatą od 1. lipca mimo przypomnienia, dotychczas zalegają: Kochani bracia myśliwi! Nie „dajcie mi zawsze o tych kilka groszy po sześć razy żebrać, i zapłaćcie już raz „te liche 1 złr. 20 ct. — Mam coś lepszego do czynienia, niż was ciągle dusić. „Serdeczne pozdrowienie“. *Wydawca.*

Przyłączając się do powyższej odezwy, zasela także serdeczne pozdrowienie wielu Członkom Tow. ochr. zwierząt.

Administracya „Miesięcznika“
której brak już czasu i pieniędzy na przypomnienia o te liche 1 złr. 20 ct.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem St. Baylego.